Lwów, 23. Marca. № 35. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Epizod krótki ale romantyczny.

(Ciąg dalszy.)

Niepodobieństwem było dowiedzieć się od chłopca, zkąd w taki czas okropny sam przyszedł do wioski. Mimo lat pięciu jakie mieć mógł, biedny chłopiec w nędzy zapewne wychowany, ledwie dobrze umiał bełkotać; a słabe jego pojęcie, przestrach i zimno do reszty pomieszać musiały. Tyle więc tylko zrozumieć można było, że wspominał o jakiejś babie, i pokazywał na swoje ciało. Biedne ciało pięcioletniego chłopięcia, nosiło ślady podwójnych sińców: sińców z zimna, i sińców z bicia pochodzących. To były ślady jedyne jego przeszłości: sińce i łachmany. Wnet zapadł w gorączkę, z której gdy za pilną starannością szambelana wyszedł, zdawało się, że zupełnie stracił pamięć przeszłości i jakby nowo narodzone dziecko, pomału przychodził do pojęć i słów. Jedno mu tylko się zostało, co się zapewne z przeszłością łączyło. Był to rodzaj wstrętu i strachu, jaki w nim wzbudzały psy. Z początku myślano że to była pamięć ostatniego wrażenia, gdy go charty opadły. Lecz później nowa okoliczność naprowadziła na nowe domysły. Szambelan upolował razu jednego ogromnego wilka, którego w sieni rozciągniętego przyszli oglądać wszyscy domownicy. Przyszedł i mały Znajda. Na widok wilka krzyknął przeraźliwie i zaczął uciekać tak szybko, że go ledwie we wsi dogoniono. To zdarzenie, z którego oczywiście biedny chłopiec nie umiał zdać sprawy, naprowadziło na tę myśl, że ową babę o której wspominał, i jego musieli napaść wilcy, przed któremi chłopczyna uciekł szczęśliwie, gdy tymczasem towarzyszka jego uległa. Od tego czasu mały chłopiec przestał okazywać dziwny od psów wstręt, a nawet zaprzyjaźnił się z niemi tak niepospolicie, że właściwem jego zajęciem, powierzonem mu niejako przez szambelana, była liczna i dobrana jego psiarnia. I tak tedy mały Znajda pozostał we dworze, i codzień rozwijał się fizycznie i moralnie. Ślicznem był dziecięciem póki nie został dorodnym młodzieńcem, z twarzą na poły jeszcze dziecinną. Pojęcie miał nadzwyczajne, serce najlepsze, a mianowicie: przywiązujące się łatwo i mocno. Szambelana oczywiście kochał nad wszystko; dla niego gotów był skoczyć w ogień. I co dziwniejszego, szambelan, który niebył zupełnie skłonny do wielkiej czułości, polubił biednego sierotkę, chętnie z nim rozmawiał, a nawet pozwalał mu bawić się z własnemi dziećmi, i niemiał nic przeciw temu, aby, jeżeli sam zechce, korzystał z nauk dzieciom dawanych. A że chłopczyk jak mówiliśmy, miał pojęcie bystre, choć się niby niczego nie uczył, wnet się wyuczył i czytać i pisać, i rachunków, i tu i owdzie nawet połapał nieco z innych nauk. Ta jego pojętność i pilność szczególna w naukach miała wszakże tę wielką dla niego dogodność, że go za nią, i za pochwały jakie mu za to dowano, by tym sposobem uczącego się pana Kazimierza wbijać w ambicyą, pan Kazimierz serdecznie znienawidził, i gdzie mógł i jak mógł tylko, okładał go szturkańcami. Znajda znosił to wszystko cierpliwie, i znając charakter pana Dyzmy popędliwy, nigdy się nawet nie poskarżył, chociaż mógł być pewien, że szambelan we wszystkiem sprawiedliwy, nie puszczał by tego synowi płazem.

Dziwna wszakże sprzeczność natury człowieczej! Mimo całego przywiązania, jakie miał do Znajdy szambelan, nie tając się nawet z niem, nazywał go zawsze Znajdą, i kazał go ubierać czysto i porządnie ale zawsze po chłopsku. Nigdy mu to nawet na myśl nie przyszło kazać chłopca ochrzcić, i nadać mu jakieś inne imię, któreby po mału odzwyczaiło wszystkich od tego wstrętu, jakie już same nazwanie Znajdy wzbudzało.

Biedny chłopiec pozostał Znajdą i jako znajda był traktowany przez wszystkich. Sam nawet szambelan, mimo całego przywiązania, i mimo przekonania, jakie miał o poczciwości i wierności chłopca, traktował go jako coś niższego, jako coś pośledniejszego. Pozostał przy psiarni, oddanej w jego bezpośredni zarząd, i dla tego dla odmiany i dla szyderstwa nazywano go czasem psiarczukiem.

ROZDZIAŁ TRZECI.

We dworze.

Dwór w Chałupińcach, jak już mówiliśmy, stał na najwyższym szczycie jaru, po którym rozsypane były owe cztery wioski. Otoczony rozmaitemi zabudowaniami gospodarskiemi, dosyć porządnemi, oparty o ogród obszerny, który miał pretensyą do angielszczyzny, obrócony frontem do ogromnego dziedzińca, był to budynek wielki, ale sklejany widocznie rozmaitemi czasami i rozmaitemi gustami.

By mu wszakże nadać nieco więcej całości, a mianowicie tej tak po wsiach naszych ulubionej pałacowej powierzchowności, nieboszczyk szambelan jeszcze przyczepił do niego od ogrodu i od dziedzińca dwa frontony ogromne, o niezmiernie wysokich słupach, które oczywiście najdziwaczniej odbijały od małego domu, swemi proporcyami, świątyni jakiej godnemi. Ale za to dom w Chałupińcach nazywano w całej okolicy pałacem, i wielki miano podziw dla dwunastu szerokich schodów, któremi wchodziło się na terasę przedpałacową, słupami otoczoną, i kwiatami zastawioną, na to zda się tylko, aby z olbrzymiej sieni wchodzić znowu schodkami na wszystkie strony do starego domku. Już to schodów i schodków wyższych i niższych było we dworze Chałupinieckim podostatkiem; potworzyła je potrzeba z różnoczasowych przybudowań wynikła. Nie będziemy się obszerniej rozpisywać nad urządzeniem i umeblowaniem domu, porządnem ale różnorodnem i pretensyonalnem; powiemy tylko, że była jedna wielka dość sala, słupami na dwie części przedzielona, dla czego, trudno było odgadnąć, chybaby suponować, że to co miało niby służyć dla ozdoby i okazałości, było wynikłością szwanków jakichś w starym suficie. Sala ta nazywała się bilarowa; jakoż w rzeczy samej, w jednej połowie stał stary i wytarty bilar, z całym przyborem do tej gry, ulubionej przez samego szambelana, potrzebnym. Druga połowa sali bilarowej służyła za jadalnią, a razem za bawialnią dla szambelana i jego rodziny gdy byli sami, bo dla gości był oczywiście inny, wykwintniejszy salon bawialny. To był ulubiony pokój szambelana, tem więcej, że przypierał do kancelaryi, mającej swój osobny wychód, w której odbywał on swoje wszystkie gospodarskie zajęcia.

Do tego więc pół pokoju sprowadzę naprzód czytelników moich i obznajomię ich od razu z panem szambelanem Dyzmą Zaklickim, który jest w nim sam jeden. Jestto mężczyzna chudy i wysoki, o rysach wydatnych i regularnych, trzymający się nadzwyczaj prosto, z pewną nawet przesadą pańskiej dumy, o której świadczyły nawet wydęte nieco naprzód usta. Był to już człowiek przeszło pięćdziesiątletni, miarkując po mnogich zmarszczkach, które twarz jego w najkapryśniejsze fałdowały zygzaki, ale wydawał się mimo to daleko młodszy; miał bowiem włosy jak kruk czarne i rzęsiste, a w oczach, ruchach i całej postawie, było nadzwyczaj wiele życia. Życia tego było nawet nadto, miarkując po szczególnej ruchliwości i oczów i rysów twarzy, które jakby w wiecznym niepokoju, żywemi latały spojrzeniami, coraz nowemi migały wyrazami, a mianowicie w szczególnem drganiu ust się odzywały. Równie żywe były wszystkie jego poruszenia; jeżeli chodził to biegał prawie, a nawet jeżeli siedział, i ręce i nogi były w ciągłym, nieustannym ruchu. Nadawało mu to powierzchowność szczególną, nieprzyjemną a nawet groźną, głównie z powodu gęstych i obwisłych nieco brwi, które wtorując tej ruchliwości jego, zdawały się ciągle najeżać i marszczyć, jakby w gniewie i niepokoju nieustannym. W chwili gdy wchodzimy do sali bilarowej, pan szambelan biegał po próżnej połowie tam i sam, wzdłuż i wszerz, ale biegał tak szybko i nierównemi krokami, a mimika i oczów i brwi, ust i rąk była tak żywa i gwałtowna, że ktoby go nie znał, i tak nagle go ujrzał, mógłby go wziąć za aktora, powtarzającego jakąś rolę namiętną. Ruchliwość ta dochodziła mianowicie do najwyższego prawie stopnia, gdy w tej bieganinie zbliżał się do jednego kąta sali, w którym stół dosyć obszerny nakryty był, miarkując po czasie i przyborach herbacianych, do śniadania. Usta jego wówczas zdawały się aż mówić, tak niemi ruszał gwałtownie, a oczy w takt za niemi biegały na drugi koniec tego samego kąta salonowego, w którym na gzymsie kominowym stał ogromny staroświecki zegar bronzowy. Zegar wskazywał godzinę dziesiątą; prędzej od jego głośnego chodu biegały i utykały po podłodze nogi pana szambelana, a każdej ulatującej sekundzie na zegarze, towarzyszył on żywiej od niej migającym ruchem oczów, zmarszczków ust i rąk. Pan szambelan niecierpliwił się widocznie.

I już było pięć minut po dziesiątej. Przechodząc koło haftowanej taśmy od dzwonka, zadrgała jego ręka konwulsyjnie, lecz znać się wstrzymał gwałtownie, bo aż zatrząsł się cały a drgającą rękę szybkim ruchem wsadził do kieszeni surdutowej, jakby się chciał ubezpieczyć naprzeciw mimowolnej chęci. I dochodziła minuta dziesiąta, Wyrwał gwałtownie rękę z kieszeni, i podniósł ku taśmie; lecz tym razem jeszcze skończyło się na gęstej czuprynie, którą tak namiętnie potarł, że mu się jak szczecina najeżyła do góry.

Otwarły się wreszcie drzwi po drugiej stronie bilaru, i weszła prosto, sztywnie, i wspaniale kobieta, której wiek niknął pod starannem ubraniem, prostem trzymaniem się i dumnym a spokojnym wyrazem twarzy. Na pierwszy rzut oka, uderzyło wielkie podobieństwo rodzinne między nią i szambelanem. Równie chuda, równie wysoka i koścista, miała takież same prawie rysy wielkiej wydatności. Brakowało jej tylko ruchliwości szambelana, które właśnie przeciwnie zastępywała wielką uroczystością i powagą nawet. Jeżeli pan szambelan był za nadto żywy i gorący, pani brygadierowa zdawała się być za nadto martwą i zimną. W wchodzącej bowiem damie mamy zaszczyt przedstawić czytelnikom naszym rodzoną siostrę pana szambelana, panią Annę z Zaklickich Sulmińską, wdowę po ś. p. Franciszku Xawerym Sulmińskim, brygadierze, jak go niewiem dla czego nazywano, wojsk zagranicznych.

Poskoczył ku niej pan szambelan rzutem namiętnym, i zatrzymał się aż koło niej, wstrzymany zimnem i sztywnem dygnieniem brygadierowej.

— Bonjour mon frère! — wyrzekła pierwsza, poprawiając swoje czarne i połyskujące loki.

— Piękny przykład! dobry przykład! śliczny przykład! — wymówił szambelan jednym tchem.

Brygadierowa czy nieusłyszała, czy nie zrozumiała; postępowała jeno powoli i poważnie ku kanapie przed którą stał ów stół nakryty, gdy tymczasem szambelan równym chodem swoim, to ją wyprzedzał, to się zostawał za nią.

— Za nieboszczki żony mojej nigdy nie było takiego nieporządku.

— Nieboszczyk brygadier byłby mi dawno dzień dobry powiedział.

— Dzień dobry! dzień dobry! dzień dobry! trzykroć powtórzył szambelan, stając jej na drodze. Ale tu idzie o nieporządek w domu, którego aśćka jesteś gospodynią. Nieporządek jest zaraźliwy, i jakże się dziwić można sługom, jak można ich łajać, kiedyt nawe aśćka przychodzisz na śniadanie o kwandrans blizko później.

— Pozwól szambelanie! — odpowiedziała brygadierowa, usuwając brata z drogi, i powolnie, poważnie wpłynęła na kanapę.

— Aśćka wiesz, że śniadanie powinno już być o dziesiątej.

— Nie mam zwyczaju tłomaczyć się, i nieboszczyk brygadier....

— Nieboszczyk brygadier był pod pantoflem.

— Mon frère!

— No przepraszam, ale już po kwadransie na jedenastą....

— Dziś wielki czwartek....

— Piękna racya!

— Były zajęcia.... nabożeństwo.... i nareszcie ubranie się — mówiła brygadierowa jakby od niechcenia, poprawiając branzoletkę i śliczną miniaturę księcia Józefa.

— Zajęcia około ciast! — winszuję! winszuję! udadzą się zapewne... takie kalcedony jak roku przeszłego.

To była słaba strona brygadierowej, która chociaż brygadierowa, mimo dumy i powagi, lubiła i umiała się zajmować gospodarstwem.

— Panie szambelanie! — ozwała się żywiej, podnosząc się z kanapy. To już nadto! jeżeli mieszkam w Chałupińcach to z przywiązania, i proszę nie zapominać, że mam własną wieś dziedziczną!

— Pani siostra zaraz się unosi.

— Tego dłużej wytrzymać nie można.

— No zgoda już zgoda!

I pocałował brygadierową w rękę. Takie kłótnie i takie pogodzenia do codziennego należały porządku, a nawet nieraz wracały kilka razy przez dzień. Niemniej przeto serdecznie się kochali, i dnia jednego nie przeżyliby bez siebie.

— A zresztą — dodała w pół udobruchona, zasiadając na kanapie, powinienbyś mon frère uważać na obecność....

Szybkim ruchem odwrócił się szambelan, i w rzeczy samej postrzegł dopiero że już od chwili nie byli sami. Po cichutku bowiem, korzystając z głośnych debatów, wsunęła się do pokoju śliczna jak aniołek, z wyrazem aniołka na twarzy, jasnowłosa i niebieskooka dziewczyna, i z nieśmiałością stała o kilka kroków od mówiących. Tuż za nią wtoczyła się druga dziewczyna także, miarkując po ubraniu krojem i barwami młodem, po włosach dziwnie zaczesanych, i w ogóle po całym wyrazie twarzy, wyrazie pełnym wymuszonej i pretensyonalnej naiwności. Lecz za to nie była ani młoda, ani ładna, chociaż widocznie po różnych minkach rezolutnych, i gestach zalotnych miarkując, miała się i za jedno i za drugie. Minki te wszystkie tem były pocieszniejsze, że zupełnie nie odpowiadały ani tuszy, mimo przesadnego ściskania się ogromnej, ani twarzy szerokiej, rozrosłej, i ospą nieco naznaczonej, ani oczom świecącym zapewne, ale jak szpileczki małym: jeden tylko nosek zadarty, był w niejakiej harmonii z pretensyonalną minką panny Heloizy Chulumet, Francuzki, i guwernantki oczywiście przy córce naszego szambelana, owej ładniutkiej i milutkiej siedmnastoletniej Helence, którą tylko co do sali bilarowej wprowadziliśmy. Widząc się postrzeżoną, zarumieniła się Helenka po uszy i zmieszana, drząca prawie przystąpiła bliżej by ucałować rękę ojca. Panna Heloiza zaś dygnęła fertycznie i zalotnie, próbując uśmiechu, który niedodał twarzy wdzięków, jeno zmniejszył jeszcze jej małe oczęta.

Szambelan skoczył jak oparzony, i rad może w duszy, że się tym sposobem kłótnia z siostrą skończyć mogła, zwrócił się do córki.

— Zkądże tak pożno moja panno! ojciec czeka, wszyscy czekają, a panna Helena wysypia się, stroi. He! co! cóż stoisz jak trusia, czy nie raczysz odpowiedzieć!

— Kochany papo! — odpowiedziała Helenka, która kochała ojca, ale się bała zawsze jego gwałtowności. Dzisiaj....

— A znowu wielki czwartek! więc także wzięłaś się baby piec... doskonałe będą...

— Puisque c'est un usage polonais! — ozwała się Francuzka głosikiem dyskantowym.

— A zwyczaj francuski, spać długo, a wstawać pózno.

— Helas! — odpowiedziała Heloiza: on se couche ici avee les poules.... quand j'etais dans mon pays natal.... a Bourges, a Chateauroux, quelles douces soirées, quelle longues causeries avec la fameuse Georges Sand!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Najnowsze dzieła.

TYPY I CHARAKTERY

przez

I. J. Kraszewskiego.

(Dokończenie.)

„*Nadworny poeta*“. Typ ten, dzięki Bogu, jest u nas plantą exotyczną. Jest to „*dolce far niente*“, lecz poezya tego czysto włoskiego typu przybiera tutaj łachmany prozy. Czego się tamten dla roskosz fantazyi wyrzeka, udaje ten życie umysłowe, dla tego, aby w łatwy sposób przyjść do odzieży i jadła. Odmalowany tutaj obrazek żył niegdyś po dworach naszych, ale podziśdzień został tylko po nim szkielet, jak po zwierzu przedpotopowym, lub jaka miniaturka. Czasy Puław były ostatnim peryodem podobnych pasożytów, o których współcześni wiele mówili, o których potomność do szczętu zapomniała. *Sit eis terra levis!*

Magnus urodził się przy pańskim dworze, z rodziców, co się księciu kłaniają, bo mu służą. Książę chce być popularnym, wydobywa talenta z niższej warstwy. Jak numer z fatalnego koła, wypada Magnus, i jako młodzieniec wielkich nadziei, siada na kanapie w pokojach księcia i pali jego wonne cygara. Puszczony raz tak blisko, naśladuje samego księcia. Wdziewa excentryczne kurteczki i szerokie szarawary. Lecz praca mu nie smakuje, postanowił więc zostać poetą. Poeta, jest to wielki przywilej. Już Rzymianie z boleścią o tem wspominają. Poecie wolno jest być próżniakiem, być niegrzecznym, dumnym, opryskliwym, zarozumiałym; a że silne nim miotają uczucia, wolno mu więc tysiąc głupstw za ich paszportem popełniać. Magnus napisał wiersz do gwiazdy, do blasku księżycowego, satyrę na panów i został okrzyknięty poetą. Popularny książę ścisnął go za rękę. Poeta nasz był to ładny chłopiec, a duma i dumanie przypadały mu do twarzy. Włosy niedbale na tył głowy zarzucone i chmurami pokryte czoło, były cechą genialności. Liznąwszy trochę francuszczyzny, a z powodu swych stosunków z góry na świat poglądając, jest najnieznośniejszą w świecie postacią. Tymczasem zjada książęce obiady, pali jego cygara, gra w karty i romansuje. Trzydzieści lat nareszcie wybija, a poeta duma i duma. Już nawet wierszyk ulotny trudno przychodzi, a poeta zwiądł, wyłysiał, zbladł, znikczemniał i zgłupiał. Spostrzegłszy to wszystko Magnus, powziął pierwszy raz w życiu, stałe przedsięwzięcie. Celem tego była jakaś w pałacu nader dwuznaczna osoba, panna Walerya, piękność już dawno odkwitła. Książę dał folwark w dożywocie, a Magnus dostał żonę. Lecz w tydzień po ślubie powracają małżonkowie do dawnego trybu życia: pani Magnusowa gospodarzy w salonach, a Magnus, wyciągnięty na kanapie, pali cygara książęce. Taki był koniec nadwornego poety.

Typy podobne nie wychodzą już u nas na przód obrazu społeczeńskiego, dla tego nie uznajemy go za swojski. Jest u nas wielka liczba poetów samozwańców, ale ci najczęściej są postaciami dwulicowemi. Kryją się z swoim talencikiem i samotności tylko powierzają niedorzeczne swe bazgraniny. Niech tylko jakie czasopismo się zjawi, a redakcya do udziału zaprosi, już ją zarzucą samemi poezyami. Smutny to objaw w życiu narodowem. Wiele fantazyi, mało pracy!

Czwarty obrazek przedstawia nam „*Reformatora*“. Typ ten jest szczęśliwie skreślony i zajmuje jako dziecko naszego czasu. Wprzód niżeli istota rodzimych wyobrażeń wylenić się zdoła, nachodzą nas z zachodu teorye i utopie, które niebaczni na nasz organizm, chciwie połykamy. Jan Burzymir Taszewski pochodzi ze starej rodziny, ma zasobny majątek i pomnaża go, jak mówią na ucho „*per fas et nefas*“. Jest on jednak radykalnym reformatorem i niwelizatorem społeczeństwa. Wypróżniwszy kilka kieliszków drogiego »maraskino”, prawi o drogich napojach posiadaczy a nędzy ubogich. Zwolennik wszelkich baśni tradycyjnych swoich przodków, jest mową radykałem; doktorem, co pacyentów liczy pigułkami, a siebie pieczenią i winem. Przesądny, powstaje na przesądy, skąpy, karci skąpstwo, samolub, mówi o ludzkości, konserwatysta w życiu, rewolucyonista w słowie. Okazuje on wszędzie podwójne lico, jedno dla świata, drugie dla siebie. Jest to amfibia rodu ludzkiego. Mówiąc raz o równości urodzenia i praw człowieka, schwytany został przez sąsiada w sidła. W córce jego kocha się godny ale biedny młodzieniec. Na stwierdzenie teoryi o równości praw człowieczych, zażądano ręki córki, lecz reformator zżymał się i odszedł z gniewem. Typ ten jest u nas tak zwyczajnym, że lękamy się bliżej go opisywać, aby ktoś z czytających, siebie w tem niechciał poznać. Jest to niestety wielka przewrotność charakteru, a brak odwagi, aby w obec sprzecznych wyobrażeń, wystąpić tem, czem się jest w istocie. Wolno jest milczeć i być bezczynnym, ale kłamać słowem i czynem, pozostanie zawsze zbrodnią w obec społeczności.

Mniej interesuje nas „*Mecenas*“. Jest to typ prawnika który przeżywszy swoją epokę, widzi się w nowej, osamotniony, sierocy. Świat jego prawniczy runął, nowsze wyobrażenia przeistoczyły dawne formy, a to co nastąpiło, jest dla niego nie zrozumiałe. Mecenas dawny odwraca wzrok od postępu, a zanurza się w przeszłość. Szpera między odwieczną pleśnią aktów i odczytuje je z zapałem młodzieńca. Stary, zgarbiony, w wytartej, szaraczkowej kapocie, z laską o srebrnej gałce, chodzi codziennie do kościoła, a ztamtąd wraca do brudnej, ciasnej izdebki, gdzie stare akta odpisuje. Biedno żyje a przecież wieść go ma za bogatego. Umiera a nikt o pozo-

stałym majątku nie wie. Typy podobne nie wchodzą w żywot naszego społeczeństwa; dla tego mniej nas obchodzą. Są to odpadłe, spruchniałe gałęzie, które walają pod nogą przechodzących, podczas gdy drzewo bujnie się rozkrzewia.

Więcej swojski typ widzimy w obrazku *„Motyl"*. Jest to kwiatek z niwy polskiej, a chociaż nie zupełnie rodzimy, jednak dobrze się u nas udaje i bujno rozrasta. Uosabia go autor w dziedzicu zamożnym, który występuje jako amator kwiatów i ogrodów. Ze słów jego widać, że tylko żyje i oddycha kwiatami. Zdaje się, że hortikultura ma w nim niedojrzaną jeszcze przyszłość. Lecz niebawem więdną kwiaty, exotyczne planty wyrzucone walają się śród gminu... Co się stało? Oto dziedzic zmienił zapał, od Lupinusów i Floxów do Elzewirów. Ten sam ogień, ta sama excentryczność w zbieraniu Elzewirów. Lecz i to mija. Następują różne reformy we wsi, postępowe i nie postępowe, nakoniec z czciciela flory i filantropa stał się fabrykant sukna. Dziwić się jednak musimy, że przy nagłych a licznych zmianach tematu, widzimy zawsze ten sam stary zapał i excentryczność. Widzimy jeszcze w przyszłości Jérzego oddającego się z tym samym zapałem preferansowi. Kończy autor elegią: „Była chwila takiej gorączki i zapału do literatury, kto nie pisał, ten zbierał, czytał, kupował, każdy chciał mieć udział w czynności literackiej kupki, która się zaprzęgła orać te rolę niewdzięczną. Spojrzyjmy dziś, co się nas pracujących zostało na zagonie, ilu wróciło do cukrowarni, do gospodarstwa, do próżnowania, do kart? *„Rari nantes in gurgite vasto"*. W kraju, którego większość niema tyle sił, aby w sobie charakter stalszy wyrobić, pytam na co rachować można? Co do mnie, lękam się każdego literackiego przedsięwzięcia i we wszelkiej innej sferze, które tylko wytrwania wymaga. U nas, co tylko nie kończy się na jednym tomie, i na doraźnej czynności, musi się skończyć zawodem." I bardzo słusznie. Niestety, przy każdem usiłowaniu widzimy prawdę słów wyrzeczonych. Typ ten jest typem zbiorowym.

„Paliwoda i Zawalidroga". Ten podwójny obrazek jest treści nader pospolitej. Znajdujemy te typy użyte w każdej niemal powiastce ludowej. Rysunek więc nie wymagał wiele pracy i umiejętności. Bohater nasz jest gapiem przez krew a nawet przez tradycyą. Filip Paliwoda, protoplasta rodu herbu Zadora, *alias* Płomieńczyk, ukazuje się na polu rycerskiem około r. 1600. Jest walecznym, lecz nie przez cnotę, tylko przez gapiostwo. Wyzywany bez końca na rękę i pokiereszowany, bo choć się bije jak lew, jednak bez żadnego fortelu. Zapala się jak siarka, lecz po przespanej nocy rękę z całego serca do zgody podaje. Jest najlepszym człowiekiem, lecz przecież czegoś mu brak. Mimochodem zakochał się, ożenił, lecz wkrótce poznał, że uczynił głupstwo. Poszedł do rokoszan, lecz i tam mu nie smakowało. W drodze od rokoszan daje się ułowić od reformatorów czeskich, a od nich przechodzi znowu do Socyanów i Aryan. Tu się opamiętał, splunął, i wrócił od *„Kirchy"* do kościoła. Idzie na wyprawę, lecz zostawszy na jakimsiś folwarku, o włos że się nie ożenił. Lecz pani Filipowa na tę wieść protestuje przez kogoś a Filip drapnął z folwarku nocą do Lwowa i z rospaczy chce zostać bernardynem. Lecz gdy go tam nie przyjmują, idzie w miasto, i tam przy burdzie jakiejś marnie ginie.

Postać ta niema u nas fizyonomii interesującej, więcej interesu mogłaby nabrać, gdyby autor ją był przeprowadził przez społeczeństwo naszego czasu.

„Zawalidroga" ma w herbie ogromną kłodę, jako symbol zapory. W stosunkach społeczeńskich jest on istotną kłodą, przez którą łazić i skakać potrzeba. Nie odezwie on się nigdy wczas, ale wtedy, gdy już za późno. Rodzina Zawalidrogów jest nader liczna; każdy ma swego Zawalidrogę, ztąd oblicze jego zbyt pospólite.

„Sobieradzka" jest to dziewczyna, która w każdej okoliczności życia, sama sobie radę daje. Rodzice ubożeją, ona śpiewa i pracuje. Rzuca dom rodzinny z tłómoczkiem, idzie w świat, lecz ma wiarę, „że jakoś to będzie." I chociaż ludzie jej dokuczają, systematycznie ją prześladują, przecież wychodzi zwycięzko z lat próby i osięga stanowisko niezawisłe. Lecz typ ten zakrawa więcej na „virago," niżeli na typ kobiecy,

Mówiąc o *„dowcipnych"* rozróżnia autor dowcip rodzimy, polski i dowcip francuski. Jak w pierwszym widzi swobodę i szczerość, tak w drugim widzi szyderstwo i żądło złośliwości. Przechodzi koleją historyą dowcipu we Francyi i w Polsce. Przytem wpada w dawną u nas bardzo upowszechnioną manią, ganienia wszystkiego tego, co jest francuskie. W Polsce lubiono od dawna ostateczności. Jak jedni są bezwzględnymi zwolennikami Francyi i tego, co z niej wychodzi, tak drudzy widzą w niej tylko potęgę głupstw i niedorzeczności. Po stronie ostatnich stanął i autor. Tej lekkomyślności nie można mu darować, zważywszy, że na przekładach utworów francuskich kształcił swe pióro powieściarskie. I my nie jesteśmy czcicielami Francyi, ale wiemy, że naród ten odniósł co do oświaty nadinnemi wielkie korzyści. Czyż temu, kto nie jest dowcipny, koniecznie dowcip głupotą i zbrodnią wydawać się musi? Wprawdzie jest dowcip straszną bronią; zabija i niszczy co napotka. Czy dla tego, że żelazem ostrem skaleczyć a nawet zabić można, mamy już wykląć ten użyteczny kruszec z ziemi naszej? Z talentem odszkicował autor odwrotną stronę dowcipu, lecz dla czegóż przepomniał o dodatniej?

„Dwa typy kobiece z czasów reformy" (1597—1629) nie są bynajmniej typami jak je autor ochrzcić sobie pozwolił. Pierwszy „typ" Bietka, jest to baśń wyjęta z *Sla-*

vonia reformata Węgierskiego. Bietka i Zacharyasz kochają się, lecz biedny kochanek musi zostać księdzem. Z rospaczy wiesza się w swojej celi a Bietka dostaje obłąkania, w którem widzi kochanka ze sznurem na szyi i z nim rozmawia. Drugi „typ,“ Krystyna Poniatowska jest jasnowidząca i ma widzenia. A chociaż autor powiada, że na to przywodzi te dwa „typy,“ aby okazać, że usamowolnienie władz duchowych bynajmniej nie jest wolne od wpływu form i wyobrażeń wieku swego, nie mówi jednak, co za widzenia miała Poniatowska i jak się o nich wyrażała. Nawet użytku z tych widzeń w interesie reformy, jak się autor wyraża, wcale nie widzimy. Są to dwa obrazki historycznie chorych kobiet, chyba dla zwiększenia książki, do «typów i charakterów» dodatkowo przyczepione.

Ostatnia postać jest „Rotmistrz Jakubowski, charaktery XVII. wieku.“ Całą zasługą tego obrazku jest dodatek autora, że zdarzenie jest »historyczne«.

Nie wiemy zkąd autor przekonał się o autentyczności tego »historycznego« faktu, który prawdopodobnie jest kopią jakiejś balady zbłąkanego trubadura. Prócz nazw polskich, Toporczyk i Ligęza i t. d. nie widzimy w tym «charakterze wieku XVII.» ani znamion, ani wyobrażeń, któreby choć pobieżnie odszkicowały nam oblicze tego wieku i jego społeczności. Excentryczna miłość kochanków i szały z tąd wynikłe, nie charakteryzują bynajmniej wieku. Są to namiętności ogólnie ludzkie, które w każdym wieku powtórzyć się mogą. Książka «Typy i Charaktery« powstała ze zbioru różnie i przy różnych okolicznościach napisanych obrazków, a jakkolwiek jej autor jest jednym z najznakomitszych naszych pisarzów, musimy mu jednak zarzucić, jak prawie we wszystkich jego pracach, pobieżność i niewykończenie w skreślaniu obrazów, często jenialnem okiem dopatrzonych. Pierwszy zarys i inwencya są zawsze mistrzowskie, lecz obrobienie znamionuje najczęściej lekceważenie następne obranego sobie przedmiotu, a tem samem i lekceważenie czytającej publiczności.

Teatr.

Zofia Morsztynówna dramat w 4. aktach. Dr. Stanisława Pilata.

(Dokończenie.)

W drugim akcie hrabia Oskar oczernił fałszywie Tarłów, iż w liście pisanym do króla a schwytanym przez straże szwedzkie przesyłał Augustowi II spis jego nieprzyjaciół, na których czele stał Morsztyn. W trzecim, przed Tarłami, nim ich uwolnił, rzucił domysł iż zapewne Morsztyn głównie nastawał na sąd i skazanie na śmierć Tarłów. Pipperowi bowiem głównie o to chodziło, aby przeszkodzić wszelkiemu zbliżeniu się tych dwu rodzin, z czego pojednanie i wykrycie jego intryg wypłynąć by mogło. Zawiązanie tej intrygi w drugim i trzecim akcie słabe. Zaledwie do lekkiej salonowej komedyi by wystarczyło, a nie dla dramatu, historyczną przybierającego barwę, gdzie już w pierwszym akcie tak silnie wystąpiła i poróżniła Tarłów i Morsztynów polityczna namiętność stronnictw. Zamiast coby miała namiętność w dalszem następstwie swego rozwoju wpaść w zawikłania dalsze, stanowiące właściwy dramat, tu namiętność od końca pierwszego, aż do końca trzeciego aktu zostaje niejako w równej mierze, a cała intryga oparła się jedynie na przewrotności Pippera, sypiącego z rękawa coraz nowe pomysły szalbierstw i podstępów. Zręczny był pomysł, Tarle przeciwstawić za rywalów dwóch Szwedów: Oskara i jenerała Horna. Jakież bogactwo intrygi i rozmaitych sytuacyj ztąd z swobodą i naturalnością największą wywinąć można było! Lecz autor z tego zręcznego pomysłu mało korzystał.

Akt czwarty wraca znowu do toru, w którym pierwszy płynął. Scena gdy Tarło przybywa w dom nienawidzącego go Morsztyna, którego wyzwał na rękę, jest wybornie schwycona. Morsztyn widząc nadchodzącego Tarłę wdziewa czapkę na głowę i położywszy rękę na kordzie, oczekuje go. Tarło wchodzi, widząc, że Morsztyn w czapce, wdziewa swoją; milczenie trwa przez chwilę, obadwaj patrzą sobie oko w oko, oczekiwanie powszechne, bardzo dramatyczne. W tem uczucie, myśl religijna przemawia z Tarły. Zdejmując czapkę mówi: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. A Morsztyn odpowiadając: Na wieki wieków Amen, naturalnie, iż rownież uchylić musi czapki. »Tarło. Niech będzie bogu chwała! jesteśmy jeszcze chrześcianami, Panie Franciszku. Morsztyn. Prócz tej świętej chluby jest jeszcze dziś jeden stosunek między nami; jesteście gościem w domu moim. Prosimy usiąść.«

Religijność i gościnność przełamały więc nienawiść wzajemną, rozwiązały **głównie** zawikłanie poprzednie. Bo poźniejsze sceny, gdzie pokazuje się, iż ani Tarło pisał do Augusta, oskarżając Morsztyna, ani Morsztyn na życie Tarłów nastawał, są jeno dla tego przydatkiem skutecznym, iż umysły obudwu przeciwników już po tem pierwszem zetknięciu czują potrzebę wyjaśnienia zajść poprzednich. Wrodzone cnoty narodowe dały im pochop do zbliżenia się. Naturalna więc iż cudzoziemiec wtedy, czy jego intryga wykryta będzie lub nie, ustąpić musi. Władysław wyzywa Oskara na pojedynek, w którym ten ostatni ginie.

Z całości widzimy, iż autor posiada istotny talent dramatyczny. Ostatnia scena aktu pierwszego, scena na zamku między Oskarem a Zofią, chociaż za nadto wyrafinowana, dalej ostatnia scena aktu trzeciego między Zofią a Władysławem, w czwartym zaś akcie scena powyżej opisana spotkania się Tarły z Morsztynem są po mistrzowsku zdramatyzowane; więcej tam życia, więcej działania niż słów; namiętność gorąca, a odpowiednia założeniu charakterów. Wytykając usterki zwróciliśmy uwagę na zalety; tu dodać musimy, iż zalety przeważają. Bo choć drugiemu i trzeciemu aktowi uczyniliśmy zarzut z niestosowności intrygi, zawsze jednak i w tych aktach znać porówno talent pisarza. Dla tego dramat ten utrzyma się długo w repertoarzu teatralnym. Kilka sztuk nowych francuskich przedstawiono tej zimy na teatrze tutejszym, ale żadna z Zofią Morsztynówną co do artystycznej budowy mierzyć się nie może. Rozbierając owe sztuki, nie można się nawet zastanawiać nad konsekwencyą wewnętrzną w budowie. Sklecone jedynie dla efektu, na samych przypadkach, zamianach, *qui pro quo* osnowane, sądzić je jedynie można pod względem efektu i ról, w jakich ten lub ów aktor odznaczyć się i grą swą zająć zdoła. Życzyć sobie jedynie należy, aby autor Morsztynówny wytrwał na polu dramatycznem, i częściej nasz teatr oryginalnemi utworami zasilał.

Gra artystów była w ogóle dobra. Główną rolę przeprowadziła pani Aszpergerowa po mistrzowsku. Scena ostatnia aktu trzeciego, gdzie bez wymówienia prawie słowa odbywa się ogromna walka namiętności, była najlepiej oddana, nawet pan Szturm w tej scenie grał dobrze. Morsztyna i Tarły role przedstawione były przez pp. Nowakowskiego i Smochowskiego, którzy owe dwie powyżej przytoczone najpiękniejsze dwie sceny: poróżnienia się a potem pojednania, podnie-

śli nie pomału, odcieniowawszy je z największą prawdą i dokładnością. Już dla tych dwu scen warto widzieć ten dramat. Panu Rejmersowi również w odegraniu roli Pippera zarzucić by nic nie można.

Rozmaitość.

*** Nader ważne odkrycie dla gorzelników o wypalaniu wódki z nasienia łubinu** (lupinus) *).

Jak wiadomo mówi pan E. Krone, właściciel ziemski i radca w Neuhaldensleben, przed niedawnym czasem, zamieszczono w pismach ekonomicznych **), iż w bliskości Saltzwedel w gorzelni pana Boums w Rohrbergu, doświadczano wypalania alkoholu z ziarna łubinu i otrzymano trudny do uwierzenia wypadek, bo 48 proc. z kwarty objętości zacieru (*Maischraum.*) Tak nadzwyczajnie ważny dla gospodarstwa wiejskiego wypadek, nie został jednak przez wynalazcę podany do wiadomości publicznej, podobno z powodu osiągania z niego w cichości znacznych korzyści. To skłoniło jednego z obywateli w Król. polskiem do wyjednania sobie od tamtejszej dyrekcyi podatków z gorzelniów, pozwolenia: na zrobienie potrójnego doświadczenia z ziarnem łubinu w kadce, 200 kwart objętości trzymającej. Wprawdzie otrzymany wypadek o wiele był niższy od wyżej podanego; jednakowoż, mimo bez wątpienia popełnionych uchybień, jak to zwykle ma miejsce przy pierwszych doświadczeniach, był on taki, iż nie płonną można mieć nadzieję, że roślina ta wkrótce nader ważne w rolnictwie i technice zajmie miejsce. Wspomnione wyżej doświadczenia wydały 8 proc. bardzo czystego i smacznego alkoholu z 1. kwarty objętości zacieru, czyli 20 proc. z funta łubinu, włącznie ze słodem; a jak wiadomo, z funta żyta, mamy zaledwie 12 proc. a z funta pszenicy otrzymuje się zwyczajnie 13 do 14 proc. Poniewaź łubin żółty, podług niżej podanej analizy, zawiera $45,^{34}$ części krochmalu i 1^{70} część cukru kleistego; a skutkiem tego, masa, podczas zacieru nadzwyczajnie objętość powiększa, przeto na 1. kwartę objętości zacieru, tylko $\frac{1}{8}$ części funta nasienia onegoż, włącznie ze słodem, użyć można; wszakże na powyższą obiętość zacieru, zwykle się bierze $\frac{1}{2}$ funta zboża. Zatem przy dzisiejszych cenach zboża i kartofli, o wiele byłoby korzystniej pędzić wódkę z łubinu, aniżeli z wymienionych produktów, a tembardziej, iż zważając na tak znaczną massę krochmalu jaką ziarno to zawiera, z pewnością przyjąć można: że przy stósowniejszem postępowaniu wyda znacznie większą ilość alkoholu. Powtórzył ten sam obywatel obecnie prośbę o dozwolenie mu czynienia z tem ziarnem dalszych doświadczeń. Skoro nadejdzie, zająć się ma z całą usilnością niemi, na jaką przedmiot ten zasługuje, a otrzymane wypadki podać niezwłocznie do wiadomości publicznej. Dziś, tyle już jest pewnem: iż roślina ta, jeżeli choroba kartofli ciągle trwać będzie, najzupełniej zastąpić je potrafi, nie już tylko pod względem gorzelnictwa, ale nadto co do paszy dla zwierząt domowych; a nawet, gdyby się chemii powiodło wyprowadzić z jej ziarna pierwiastek olejno gorzki, i na pokarm dla ludzi, podobnież jak groch, służyćby mogła ***). Nader więc ważną roślina ta stać się może w gospodarstwie wiejskiem, tembardziej, iż bez nawozu, w gruncie zupełnie lekkim, piaszczystym, wydaje plon dwa razy i większy nawet od żyta. Analiza chemiczna ziarna łubinu, przez p. Schrödera aptekarza wykonana, taki dała wypadek:

1) *Łubin żółty.* — $45,^{34}$ części krochmalu; $18,^{20}$ części substancyi galaretowej, azot zawierającej, bez smaku; $2,^{36}$ części substancyi zwierzęcej w wodzie, ale nie w alkoholu rozpuszczalnej; $1,^{70}$ części kleju cukrowego; $5,^{24}$ części pierwiastku gorzkiego, (lupininu) z łatwością rozpuszczalnego w wodzie i w spirytusie winnym, lecz nie rozpuszczającego się w czystym alkoholu i w eterze; $1,^{70}$ części fosforanu sody i wapna; $17,^{76}$ części wody. Reszta składała się z łupinek ziarna i włókna drzewnego. 2) *Łubin błękitny.* $38,^{66}$ części krochmalu; $13,^{22}$ części substancyi azot zawierającej; $4,^{25}$ pierwiastku gorzkiego; reszta substancyi jak w pierwszem ziarnie. — Neuhaldesleben, dnia 18 października 1853 r. (podp.) *Schröder*, aptekarz.

Opis uprawy łubinu i użycia go na różne cele, wkrótce wyjdzie w Warszawie na widok publiczny w polskim języku. K. H.

*) Podług Jundziłła: *Ziele kawiane*, a po prostu *kawą* zwane przez ogrodników naszych.

**) *Agronomische Zeitung* Dr. Hamm's. Nr. 43 Jahrg. 1853 Sei. 648.

***) Nasz Kluk, któremu roślina ta była znaną, mówi: iż jej ziarno, przez moczenie w zimnej wodzie, utraca smak gorżki, i na pokarm dla ludzi służyć może.

Wyrobnica francuska. Przed pięcią blisko miesiącami przybył do Valence ubogi wyrobnik Mikołaj Hibszen, z czworgiem dzieci. Najstarszy syn, mający lat do trzydziestu, znalazł zatrudnienie przy tamtejszej kolei żelaznej a gdy ojciec był chorowity a resztę dzieci maleńkich, więc Michaś sam jeden pracować musiał na biedną rodzinę. Przed kilku tygodniami umiera ojciec, a gdy syna przywołano do mera i zapytano o imię i gdzie umarła matka pozostałych dzieci, zmuszony był biedny wykryć prawdę. Pod bluzą wyrobnika ukrywała się cnotliwa Zuzanna, żona zmarłego Mikołaja i matka trojga dzieci. Od pięciu lat pracowała przebrana za mężczyznę, wnet donosząc mularzom cegieł i wapna, wnet z siekierą i rydlem, a przebrała się z powodu, iż mężczyzn jedynie przyjmowano do roboty, ona więc tym sposobem mogła wyżywić chorego męża i dzieci. Wspaniałomyślne to poświęcanie się, wykryte, wzbudziło podziwienie całego miasta, i zajęto się losem biednej rodziny. Prefekt doniósł o tem Cesarzowi Ludwikowi Napoleonowi. Od Cesarzowej Eugenii otrzymała Zuzanna list następujący: Pałac Tujleriów 18. lutego 1854. Dom Cesarzowej. Pani! Cesarzowa z szczególniejszym udziałem czytała o szlachetnym podstępie, któregoś się chwyciła, chcąc wyżywić chorego męża i biednych dzieci. Wzruszona tym opisem, postanowiła Cesarzowa ofiarować pani pomoc swoją. Życzy sobie zająć się zaopatrzeniem dwojga dzieci pani i rozkazała mi, porozumieć się w tym względzie z prefektem. Cesarzowa wie, iż są cnoty, których wielcy tego świata wynagrodzić nie mogą, ale pragnie ona dać pani dowód, iż poświęcająca się żona i matka najżywszą w niej obudza sympatyą. Sekretarz: Damasius Hinnard. Zachowanie się Zuzanny było bardzo przykładne zawsze. Sąsiedzi podziwiali pracowitość i wzorowe obejście się młodego Michała. Nie raz widziano jak choremu ojcu i głodnym dzieciom dawał wszystko, co za ciężko zapracowany grosz żywności kupić zdołał, a sam kontentował się okruszynami jeżeli jakie pozostały. Później dowiedziano się iż przed czterma laty u piersi karmiła dziecię małe a trudno uwierzyć, jak przy tak ciężkiej pracy a lichem pożywieniu czynić to mogła. Ale Bóg, obrońca ubogich a pokrzepiciel słabych dodał jej siły i łaski swej do dopełniania obowiązków żony i matki. Mniemany Michał nim z siekierą lub rydlem udał się do roboty, codzień o godzinie piątej szedł do świątyni pańskiej, aby wysłuchać mszy świętej i swoje utrapienia złożyć w ofierze Bogu i przenajświętszej Bogarodzicy. A gdy teraz Bóg ją nagradza a ludzie ją podziwiają, ona w dawnej prostocie i i skromności pozostała i nadal kobietą pracowitą i skrzętną, i niemoże pojąć, co nadzwyczajnego widzą ludzie w jej dawniejszem postępowaniu.

* **Propaganda religijna** dziwna się wydaje w narodzie, który we wszystkich swoich warstwach nie odstąpił od religii. A jednak dzienniki niektóre robią sobie niejako z tego zasługę, co jedynie dowodem jest iż kółko to, którego organami są, odbiegło niegdyś było od wiary i obyczaju przodków, a dziś, czy stosunkami czy prawdziwem przejrzeniem skłonione, wraca do niej, a sądząc naród podług siebie, nuż i z narodu exorcyzmować poczyna szatana, którego tam nigdy nie było. Podobne śmieszne dążenia objawiają się u nas

coraz częściej, a czegóż one są dowodem? Oto coraz więcej ludzi z tej klassy narodu która przy końcu przeszłego wieku i na początku bieżącego pomiotała uczuciem religijnem, wytępiła je w sobie, dziś czuje potrzebę religii. Lecz zamiast wzywać łaski Boga, by prawdziwą rozbudził w nich wiarę, oni z pierwszego ocknienia się swego chcą robić sobie zasługę przed Bogiem i światem, rzucając się do propagandy. Ludowi wytrwałemu w wierze krzyczą ciągle iż jest nie religijny, a on zdumiony słucha, bo ich wołań nierozumie.

* Morsztyn Antoni, wojewoda Inflantski, bawiąc przy królu Stanisławie Leszczyńskim w Gdańsku w czasie oblężenia, uważał iż od kilku dni jeden i zawsze ten sam tort do stołu dawano. Gdy mu się to sprzykrzyło, wziął nóż i tort krajać począł, co widząc król, (któremu smutne położenie oszczędność doradzało) mówił: Nie trudź się próżno panie wojewodo! wszakże nikt go jeść nie będzie. Ani ja, miłościwy królu! odpowie Morsztyn, ale chciałbym koniec mu przecież raz położyć, gdyż mię ciągła obecność jego już znudziła.

* Niektórzy źli ludzie rozumiejąc, iż wielką nagrodę otrzymają gdy króla Stanisława Leszczyńskiego zgładzą z świata, umówili się, iż ukryci za krzakiem koło którego król miał przejeżdżać, zamiaru swojego dopną. Stanisław dowiedział się o tem, i chwilą prędzej udał się na one miejsce gdzie nań owi ludzie zasadzić się mieli. Nadjechał właśnie gdy się zgromadzili, i natarł z jednym tylko na nich paziem. Niespodziewane zjawienie się króla zmieszało łotrów do których on temi odezwał się słowy: «Moi przyjaciele! nie mogę wierzyć, aby ludzie którym nigdy nic złego nie zrobiłem, życie mi odebrać chcieli. Jeżeli was niedostatek wiedzie, abyście zabójstwo popełnili, patrzcie, oto tu są pieniądze. Weźcie je, a sprawujcie się jak poczciwym ludziom przyzwoito.« To mówiąc, obdarzył ich pieniądzmi, i w swoją pojechał drogę.

* Chalecki, starosta Cyrkaski, będąc w Wilnie na zamku podczas gdy tam król Zygmunt stary mieszkał, przypatrywał się wespół z królem szczwaniu niedźwiedzia. Gdy zaś psy nieochotnie się na niedźwiedzia zrywały, rzekł król: musiano te psy zbyt okarmić, iż niedźwiedzia brać nie chcą. Na co Chalecki: miłościwy królu: każ tylko pisarze swe spuścić; tym nic nie wadzi; by się nie wiem jak objedli, przecię oni zawsze dobrze biorą.

* Radziejowski, człowiek zuchwały, kiedy na sejmie konwokacyjnym rzucono pytanie jakby zapobiedz rozruchom w czasach bezkrólewia, i czyby nie lepiej było ustanowić i zabezpieczyć tron Piastów,— a sprzeciwiało się wielu obraniu Piasta, między innemi rzekł: Taką rzeczą, i mój woźnica Piast, będzie mógł się do tronu ubiegać. — Niech będzie i woźnica, odpowiedział Buziński, obierzmy go, aby tylko chłostał biczem sprawiedliwości ludzi przedajnych obcym dworom, i niespokojnych w rzeczypospolitej.

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Baligród. 2. Artysta. 3. Przysięga. 4. Maraton.**

Szarady.

1. Przeczytasz tak, domowy zwierz,
Chcesz widzieć wspak, na gumno bież.

2. Pierwsza z drugą potrzebna do jazdy,
Czwartej z trzecią niech unika każdy,
Całość jest miasto, i ma przysłowie
Które dandys o wieśniaku powie.

3. Rybie druga z pierwszą życie ratuje,
Pierwsza z drugą komuż nie smakuje.

4. Pierwsza nazwisko zaalpejskiej rzeki
A druga z trzecią mniejszych wód ma ścieki.
Ta druga z trzecią wartość pierwszej zniża
I jej wielkości kłamliwie ubliża.
Całość jest kwaśna, nie rób jej u żyda
Bo dla kieszeni ztąd wynika bieda.

5. Weź dwie litery
I chowaj papiery.

6. Pierwszej z trzecią używają stolarze
O drugiej z trzecią wspominają herbarze
A zaś całości potrzebują kucharze.

Przyjechali dnia 21. 22. i 23. marca do Lwowa:

PP. Brzozowski Jan, ze Stanisławowa. Czermiński Stanisław, z Albigowy. Czermiński Juliusz, z Miczyszczowa. Paszkudzki Ignacy, z Żędowic. Hr. Załuski Józef, ze Sanoka.

PP. Hr. Badeni Alexand. z Borynicz. Chwalibóg Jan, z Lipowiec. Dumański Bazyli, z Gołogór. Hermann Rychard, z Wołkowa. Knispel Antoni, ze Sniatyna. Krobicki Szczepan, ze Smolanki. Maryański Karol, z Kozłowa. Ośmiałowski Szymon, z Janczyna.

PP. Kriegshaber Alojzy, z Kabarowiec. Ubysz Henryk, z Kamienopola.

Wyjechali dnia 21. i 23. marca ze Lwowa:

PP. JExc. Fmp. Liebler, do Krakowa. Popowicz Bazyli, do Czerniowic. Hr. Starzyński, do Bartatowa. Tretter Konstanty, i Tretter Hilary, do Dzwiniacza. Ziembicki Grzegorz, do Dusanowa. Żukiewicz Konstanty, do Sniatyna.

PP. Biliński Jan, do Czerniowic. Gnoiński Aleksand. do Kamionki. Hr. Papenheim, do Krakowa. Serwatowski Wojciech, do Tarnowa. Wójty Józef, do Krakowa. Wolański Mikołaj, do Podhajec.

Kurs lwowski.

Dnia 23. Marca.		gotówką				towarem.	
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	8	złr.	6	kr. 12.
Dukat cesarski	»	6	»	12	»	6	» 16.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	43	»	10	» 46.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	4	»	2	» 6.
Talar pruski	»	2	»	3	»	2	» 6.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	31	»	1	» 33.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	»	90	»	40	»	91	» 50.

Kurs telegraficzny z Wiednia. 22 marca o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg 136. Frankfurt $135\frac{7}{8}$. Hamburg $102\frac{1}{8}$. Liwurno 132. Medyolan $133\frac{7}{8}$. Genua.— Londyn 13. 17. Marsylia —. Paryż $161\frac{1}{4}$. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 36. Pożyczka 5% $82\frac{3}{8}$. $4\frac{1}{2}$. — Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1180. Kolej północna 2160. Obl. ind. 5% —.

☞ **Dla święta w sobotę, numer następny wydawany będzie jutro o godzinie 6tej wieczór.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**